

**NADTYTUŁ: Polska zatopiona jest w historii. Dzięki niej zrozumiemy, dlaczego właśnie w Polsce żyje i pracuje przeszło milion przyjętych tu z otwartymi rękami imigrantów ukraińskich, a na szczycie Unii Europejskiej polski premier zabiega (z sukcesem) o plan rozległego wsparcia gospodarczego dla Białorusi.**

**TYTUŁ: Jak różnie brzmią echa Wielkiej Wojny**

**AUTOR: Jan ROKITA. Filozof polityki, działacz opozycji demokratycznej, były poseł i szef klubu parlamentarnego Platforma Obywatelska.**

**WYIMEK: Swoiste „przeniesienie” Unii na Wschód zbudowało misję polityczną współczesnego państwa polskiego. Bez świadomości tego faktu nie da się w ogóle zrozumieć polskiej polityki ostatniego ćwierćwiecza.**

W sławnej książce *The Sleepwalkers* brytyjski profesor Christopher Clark prowadzi śledztwo w sprawie wywołania pierwszej wojny światowej, stawiając diagnozę, że była to bardziej tragedia niż zbrodnia. Wielką Wojnę wywołali owi tytułowi „lunatycy”, nieświadomi skali dziejowej katastrofy, której stali się sprawcami. Katastrofą okazały się nie tylko hekatomba ofiar i skala zniszczeń, ale przede wszystkim załamanie się politycznego ładu europejskiego, podziwianego przez wielu do dziś dnia jako „piękny wiek XIX”. Sześć lat temu, w stulecie tamtej wojny, książka Clarka stała się „polityczną biblią” polityków i intelektualistów, którzy cmokając z uznaniem, omawiali jej tezy na niezliczonych konferencjach, zawsze kończąc tą samą przestrogą przed powtórką „lunatycznego” precedensu. Patrząc z perspektywy zachodnioeuropejskiej „*la belle époque*”, którą tamta wojna brutalnie przerwała, można stwierdzić, że ten typ narracji, który Europie podyktował Clark, jest nie tylko logiczny, ale ma też walor moralnej szlachetności. Jednak Polaka uderzać musi w tej narracji radykalna odmienność doświadczenia XX wieku, właściwego Europie Środkowo-Wschodniej. Odmienność, którą dzisiejszemu Francuzowi, Włochowi czy nawet Niemcowi pewnie trudno dostrzec, a co dopiero zaakceptować.

Jeden z najbardziej znanych passusów z literatury polskiej, tkwiący od czasów szkolnych w pamięci każdego Polaka, to modlitwa z *Litanii pielgrzymskiej* największego polskiego poety Adama Mickiewicza: „O

wojnę powszechną za Wolność ludów! Prosimy Cię, Panie”. Passus ów jest traktowany jako profetyczna zapowiedź wybuchu wojny, która po trwającej ponad wiek okupacji w końcu przyniesie Polakom wolność i możliwość życia we własnym państwie. W tej polskiej narracji rok 1914 nie jest ani „zbrodnią”, ani „tragedią”, ale przeciwnie – jest dziejowym zwiastunem wolności odzyskanej cztery lata później, gdy niespodzianym skutkiem owej wojny stał się upadek trzech okupujących kraj cesarzy: niemieckiego, rosyjskiego i austriackiego.

Dla polskiego rozumienia świata i własnego w nim usytuowania – był to moment kluczowy. Wojenne zwycięstwo Anglii i Francji umożliwiło Polakom odzyskanie wolności, a tym samym to właśnie te dwa mocarstwa wpisane zostały jako „przyjacielskie” i „sojusznicze” do przekazywanego z pokolenia na pokolenie kodu polskiej politycznej samoświadomości. Ale to mało. Tamto zwycięstwo, o czym wie każde dziecko w Polsce, było możliwe tylko dzięki temu, że po raz pierwszy w dziejach do Europy wkroczyli Amerykanie. Jeśli wkrótce potem z niej wyszli, zde gustowani jakością polityki europejskiej, to tragedia musiała się powtórzyć. Druga wojna światowa stała się tego najoczywistszym dowodem. I tak to przekonanie o niemal „magicznej” mocy obecności Amerykanów w Europie zostało również wkodowane w polityczny DNA, kształtujący tożsamość Polaków.

Odrodzone w 1918 roku państwo polskie nie potrafiło myśleć o samym sobie inaczej niżli w kategoriach jakiejś szerszej, środkowo-europejskiej unii. To było oczywiste echo dawnych czasów, gdy litewska dynastia Jagiellonów władała rozległym federalnym mocarstwem z dwiema stolicami w Krakowie i Wilnie. Co prawda w innych, bardziej etnicznych kategoriach, ujmował nową państwowość polski ruch narodowy, ale objęcie władzy przez Józefa Piłsudskiego (w dniu historycznego rozejmu z Compiègne 11 listopada 1918) sprawiło, że to nie „nacjonaliści”, ale „prometeiści” zdefiniowali powojenną misję państwa polskiego. Militarne przymierze z również uwalniającymi się od rosyjskiej dominacji Ukraińcami i Białorusinami, którego sensem miało być ustanowienie na nowo unii w środkowo-wschodniej Europie, załamało się jednak pod naporem bolszewików. Sił starczyło ledwie, aby obronić zagrożoną polską państwowość przed bolszewikami, stojącymi latem 1920 roku pod samą Warszawą. Nie starczyło już sił dla odnowy idei unii na środkowym wschodzie Europy. Ale choć unia wówczas nie powstała, a ta część Europy miała już wkrótce stać się polem bitwy nacjonalizmów, to tamten

czas, bezpośrednio po Wielkiej Wojnie, stał się niczym echo, odzywające się w polskiej polityce nieustannie w ciągu ostatniego stulecia, aż do dziś dnia.

Jest to przede wszystkim echo marzeń o politycznej integracji, która (co z czasem stawało się oczywiste) nie może już być ustanowiona partykularnie na środkowym wschodzie Europy, ale może na ten obszar wkroczyć tylko jako część wielkiego projektu integracyjnego całej Europy. Trzeba to wiedzieć, aby rozumieć entuzjazm Polaków dla własnego akcesu do Unii Europejskiej w XXI wieku, ale także dla rozszerzenia jej o Ukrainę, Białoruś, Mołdawię czy Gruzję. Swoiste „przeniesienie” Unii na Wschód zbudowało misję polityczną współczesnego państwa polskiego, a bez świadomości tego faktu nie da się w ogóle zrozumieć polskiej polityki ostatniego ćwierćwiecza.

Odległym echem tamtego czasu jest niestety również silna w Polsce pamięć o tym, że w chwili, gdy w 1920 roku wszystkie polskie plany groziły załamaniem, a wraz z nimi nawet sam byt państwa polskiego został zagrożony, „sojusznicze” i „przyjacielskie” mocarstwa europejskie, a w szczególności Anglia pod rządami Lloyda George’a, paradoksalnie stanęły po stronie bolszewików, wymuszając na konferencji w Spa zrzeczenie się przez polski rząd na rzecz sowieckiej Rosji połowy terytorium kraju, czyli tego wszystkiego, co przywłaszczyli sobie siłą rosyjscy carowie w XVIII wieku.

Nigdy już potem nie udało się w Polsce zlikwidować tej podskórnej nieufności do europejskich „przyjaciół”, wzmocnionej jeszcze we wrześniu 1939 roku i trwającej w gruncie rzeczy do dzisiaj. Z kolei jednak powracające echo tamtych zdarzeń wywołuje również szczególną polską wrażliwość na krzywdę i odrzucenie przez Europę Ukraińców i Białorusinów, czyli jedynych narodów, które wiek temu zbrojnie stanęły razem z Polakami przeciw sowieckiemu niebezpieczeństwu. Musi mieć tego świadomość każdy, kto chce dzisiaj zrozumieć, dlaczego właśnie w Polsce żyje i pracuje przeszło milion przyjętych tu z otwartymi rękami imigrantów ukraińskich, a na szczycie Unii Europejskiej to polski premier zabiega (z sukcesem) o plan rozległego wsparcia gospodarczego dla Białorusi, który ma ruszyć, gdy jej obywatelom uda się usunąć panującą tam dotąd tyranie.

W swej sławnej książce profesor Clark dowiódł, że echa tamtej Wielkiej Wojny dobitnie słyhać we współczesnej polityce. To prawda. Tylko że

polskie echa dźwięczą trochę odmiennie od tych, które usłyszał świetny brytyjski historyk.

*Tekst publikowany równocześnie z polskim miesięcznikiem opinii Wszystko Co Najważniejsze w ramach projektu realizowanego z Instytutem Pamięci Narodowej.*